Nr. 15. We Lwowie dnia 15. kwietnia 1895. Rok III.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

PRZYJACIEL JUNGMANNA O POLSCE I POLAKACH.

(Na podstawie listów Ant. Marka do J. Jungmanna ogłoszonych w „Czasopiśmie Muzeum czeskiego“ 1886—1889 i 1892).



W szkicu poprzednim (»Tydzień« nr. 11 i 12) omówiłem stanowisko Józefa Jungmanna wobec sprawy polskiej. Dziś przychodzi mi pomówić o jego najbliższym przyjacielu, Antonim Marku.

I.

Urodzony 16. września 1785 w Turnowie autor pomnikowej czeskiej »Logiki« wstąpił na teologję 1805 r. w Litomierzycach, a uświadomiony już wtedy narodowo, pod wpływem twórcy odrodzenia czeskiego, tem bardziej się krzepił i na dzielnego szermierza sprawy narodowej wyrabiał. Gdy po ukończeniu studjów zajął posadę na Grubej Skale, nie mogąc się stykać częściej osobiście z drogim swym mistrzem, korespondował z nim gorliwie, zwłaszcza, że chwile to były w wypadki brzemienne, budzące wiele nadziei. Gorący też młodzian nie pozostał obojętnym na tok spraw politycznych i przejęty poglądami Jungmanna, już w r. 1811 w swym »Liście poetycznym«, pełnym ducha wszechsłowiańskiego, pieje peany na cześć Rosji, dając nim w Czechach nowożytnych początek poezji politycznej, przesiąkłej ideą panslawistyczną (prw. co o tem mówi prof. Jan Jakubec w monografji swej o Marku, w »Czasopiśmie Muzeum czeskiego«. — 1890, str. 120—122).

Wprawdzie nie mamy śladu w korespondencji Marka z Jungmannem poglądów na sprawę polską, podniesioną w czasach napoleońskich przez legjony, ale z jego uwielbienia dla rzeczy rosyjskich, widocznego tak z licznych przekładów pisarzy tego narodu, jak z listów — w których n. p. z równowagi go wyprowadza nawet taka drobnostka, jak wydrukowanie »czar« zamiast »car« (list z 3. października 1815), lub do głębi wzrusza śmierć Aleksandra I., »pierwszego z pośród Słowian« (list z 4. października 1826), — można nabrać dostatecznego wyobrażenia o stanowisku księdza Antoniego.

Nie inaczej też pojmuje je prof. Jakubec, gdy pisze o nim (j. w. str. 350): »gorszył się, ilekroć widział, że harmonja wzajemności słowiańskiej się psuje. W sporach rosyjsko-polskich stał naturalnie *(sic)* po stronie Rosji, uważając to dla Polaków za dobrodziejstwo, że się dostali pod silne berło rosyjskie«. Chciałoby się te wyrazy szan. krytyka uważać za podsuwanie Markowi zapatrywań, będących własnością polityków czeskich chwili obecnej i (jak się zdaje) samegoż prof. Jakubca — niestety, stwierdza je list do Jungmanna, pisany już z Libuni 1. października 1831, a więc po upadku powstania listopadowego, i drugi z 12. listopada t. r. W pierwszym czytamy: »Dziennikarze... nieradzi są upadkowi niezdobytej Warszawy!«, poczem następuje niebardzo pochlebna wzmianka o ks. Wagenknechcie, »który zdaje się być odgłosem praskich polonofilów«, a którego poznał podczas wakacji. W drugim pisze: »Polacy zatem zakończyli swą nierozważną akcję. Aczkolwiek żal mi tak ogromnego upływu krwi słowiańskiej, nie żałowałbym tego, gdyby połączenie ich z matką (!) Rosją stało się zupełniejszem, niż tego wielu pragnie. Ogólnemu piśmiennictwu słowiańskiemu nie przyniosłoby to wcale szkody!« Jest to tylko warjacja (wcale dla ucha naszego nierozkoszna) na temat listu Jungmanna z 5. października (prw. »Tydzień«, nr. 12, str. 97), dowodząca, jak ślepo ksiądz z Libuni polegał na zdaniu swego przyjaciela i jak mało starał się wyrobić sobie własny, niezależny pogląd na sprawę polską.

Ba, co więcej! — w zacietrzewieniu swem ks. Marek posuwa się aż do nazwania »niesłowiańskiem« wystąpienia sprawiedliwego dzienników czeskich przeciw carowi Mikołajowi z powodu jego pobytu w Czechach 1835 r. Dzien-

niki te ujęły się były za Polakami gnębionymi. Cóż na to nasz »brat-Słowianin«? Oto smuci go krok ten, »bo że to czynią Anglja i Francja czasem, to rzecz naturalna, ponieważ zawiść jest potężnym motywem, a te dwie współzawodniczki nie mogą patrzyć na to bez trwogi, że w wieku i chwili ich przewagi słowiańszczyzna tak potężne zajęła miejsce obok nich! Niech się im z ust toczy piana, pełna jadu wścieklizny — to tylko miarą i dowodem naszej sławy; ale gdy zarażeni morową chorobą tej zawiści sami wraz z nimi szczekamy ne swą własną sławę, to jest to, jeśli nie śmieszne postępowanie, w każdym razie wstrętna kłótnia wobec trybunału Slawji, niezaprzedanej cudzoziemczyźnie. Że Fergusson uderzał nieraz na Rosję w parlamencie, to mu uszło, bo jako członek rządu mógł się powołać na trzysta okrętów wojennych; ale co możemy powiedzieć my — w dutkowych Czechach!« (list z 21. grudnia 1835). Swą reprymendę kończy polityk wiejski utylitarną uwagą: »Na pożytek nam to nie wyjdzie, chyba — na szkodę«.

I to pisał ksiądz katolicki, syn przez dwa wieki uciskanego narodu!

Na szczęście nie brakło i wtedy ludzi trzeźwych, którzy dawali wyraz swemu niezadowoleniu ze stanowiska panslawistycznego księdza libuńskiego i jego przyjaciela, Weteszníka. Nie wywarło to jednak żadnego wpływu na krewkiego Marka, który ma na zarzuty mu czynione jedną tylko odpowiedź (prw. list z 11. stycznia r. 1833): »Patrjotyzm jego (t. j. Weteszníka) jest patrjotyzmem w najlepszem rozumieniu, nie jest tak ciasnym, jak u cuchnących francuzczyzną Warszawiaków i idących w ich ślady Nadwełtawian!... Potępiajcie nas, my się jednak mimo to jeszcze przyznawać będziemy do słowiańskiej ojczyzny!«.

II.

Olśniony potęgą rosyjskiego oręża, podziw swój dla państwa przeniósł też na dziedzinę piśmienniczą i choć nie zaniedbywał też lektury serbskiej i polskiej, przedewszystkiem rozkoszował się Puszkinami, Bułgarynami i t. p. Dla języka naszego i piśmiennictwa, które mimo szaty romantycznej nie zapomniało o swem posłannictwie narodowem, owszem tem szczytniej je spełniało, nie okazywał jednak szczególniejszego zajęcia.

Tak więc ten, który czyta Bułgaryna »z satysfakcją« (patrz list z 12. listopada 1841), z najwyższą niechęcią odpowiada na list przyjaciela, gdy mu tenże proponuje nabycie trzeciego tomu paryskiego wydania Mickiewicza: »Podana treść nowego tomu polskiego Mickiewicza odjęła mi chęć posiadania go. Jeśli jednak wydaje ci się odpowiedniem nabycie jego, dobrze — zapłacę i za ten obłęd swych braci Słowian« (list z 25. czerwca r. 1833). Kto pamięta, że dotyczy to »Dziadów« części III., zrozumie powód tak ostrego wyrażenia się księdza-rusofila i uśmiechnie się z politowaniem, czytając takie zdanie jego o poznańskim *Dzienniku domowym*, który mu pożyczyła pewna Polka, bawiąca na kuracji w Siedmiogórce: »Jest to dobre pismo, z którego przemawia cały ból narodu, ale widocznie nieobznajomione z myślą bezstronnego (!) panslawizmu« (28. lutego 1855). Co znaczy »bezstronny«, każdy się domyśli.

W każdym razie nie można zaprzeczyć, że interesował się Marek też poniekąd naszą oświatą i literaturą. Wszakże nawet z poezji naszych klasyków przejął za poradą Jungmanna wiersz 13-zgłoskowy i zastosował w przekładzie »Heroid« Owidjusza (list z 28. czerwca 1815).

Nie przepomniał też donieść przyjacielowi o myśli ustanowienia wszechnicy w Warszawie (list z 23. grudnia 1816), łącząc tę wiadomość z inną o wyjściu dzieła geologicznego o Karpatach (naturalnie Staszica). Chwali nawet niejakiego Teichla, dyrektora szkoły królohradeckiej za to, że zaprenumerował sobie słownik Lindego i krakowski dziennik (3. lutego 1818); podnosi też w liście do mistrza i tę okoliczność, że pewien hrabia czeski czyta polskie książki (list z 19. marca 1818). Nawet z powodu »Śpiewów historycznych« Niemcewicza, które czytał aż dwa razy i wielce cenił »dla lekkości stylu«, wyraża przekonanie, że »byłoby to z korzyścią, gdyby już młódź czytała rzeczy, pisane w narzeczach pokrewnych i tym sposobem przyzwyczajała ucho swe do wyrazów słowiańskich«. Po za to *pium desiderium* jednak nie posuwał się i co najważniejsza, sam za mało czytał po polsku, bo prócz wspomnianych dzieł, ledwo jeszcze Majewskiego dzieło o sanskrycie cytowane w listach jego znajdujemy (list z 19 marca i 15 lutego 1818). A i to, co czytał, zajmowało go więcej swą stroną zewnętrzną, językową, niż treścią, duchem.

To też pozostał nam obcym — moglibyśmy nim także nie zajmować się wcale, gdyby nie to, że jako najbliższy przyjaciel Jungmanna, jest zarazem najlepszym dowodem tego, jak zaraźliwym był wpływ wielkiego uczonego na otoczenie, a przez nie na szersze warstwy społeczeństwa czeskiego i ich stanowisko w sprawie polskiej.

Dr. Fr. Krczek.



KAROLINA ŚWIETLA.

Obrazki z gór.

I. POCAŁUNEK.

(Dokończenie)

W chwili właśnie, gdy ogólna wesołość dosięgła szczytu, gdy tancerki najbardziej się wysiłały, niczego nie zaniedbując, aby mu się przypodobać, postać Vendulki stanęła mu nagle w myśli i nie chciała ustąpić pomimo wszelkich jego starań i wysiłków. Musiał porównać ją do tych, co go otoczały i zarazem powiedzieć sobie, że jakkolwiek była dumna, gwałtowna, nieugięta, niekiedy szyderska, inną wszelako miała duszę, niż te, co uśmiechały się doń obłudnie, chociaż ich zgoła o to nie prosił. Jak gorąco miłowała go niegdyś, a mimo to, ile w niej zawsze było rozwagi, jaki zacny a czysty sposób myślenia, jak zgoła inaczej okazywała mu swoją miłość! Mógł z najgłębszem przekonaniem twierdzić, że nikt z ust jej nie słyszał tego, co te usta jemu mówiły; podczas gdy miał zupełną pewność, że skoro tylko nie da się złapać którejkolwiek z owych pochlebnic, jutro powtórzą wszystko, co mu wyznawały pod przysięgą, komuś innemu, za kogo wydać się będą miały nadzieję. Dla dokuczenia narzeczonej zwrócił się do innych dziewcząt, a tymczasem one właśnie, wbrew swojej i jego woli, dokonywały przewrotu w jego myślach, one właśnie dowodziły mu, czego wiedzieć nie chciał, ale co teraz przyznać musiał, że choćby nawet Vendulka miała wszelkie wady, jakie jej zarzucał, charakterem wszelako i sposobem zachowania się górowała ponad wszystkiemi innemi.

Długo przechadzał się Łukasz wśród ciszy nocnej, rozważając tak i namyślając się, jak miał odtąd z nią postępować? Głęboko, nader głęboko zraniła go bolesną swą pogróżką, a tem samem zasłużyła, aby się gniewał na nią długo jeszcze po ślubie. Ale czy miał ugiąć na dobre twardy jej kark takiem, jak dzisiejsze, zachowaniem się, którem pragnął jej dowieść, że on tu panem i nazawsze nim pozostanie? A czy też bardzo ją dotknęło to, co uczynił? Co mu powie, gdy się ze sobą spotkają? Aby mogła spełnić swoją pogróżkę, nad tem się nawet nie zastanawiał, uważając to za rzecz zgoła niemożliwą.

Poczciwy Łukasz sądził, że wciąż jeszcze przechadza się w polu za gospodą, a tymczasem oddalał się od niej stopniowo, zbliżając bezwiednie ku własnej zagrodzie. Spostrzegł, gdzie się znajduje wówczas dopiero, gdy stanął u samego płotu ogródka. W tem dał się słyszeć radośny okrzyk i ktoś rzucił się mu na spotkanie: była to służąca.

— To tylko wy, gospodarzu? — zawołała, poznając go.

— A któżby miał być inny jeszcze, prócz mnie.

— Sądziłam, że wraca z wami i gospodyni.

Łukasz osłupiał, złe przeczucie zmroziło mu krew w żyłach.

— Gospodyni? — powtórzył niepewnym głosem. — Skądżeby miała wracać?

Zamiast odpowiedzi dziewczyna wybuchnęła płaczem.

— Co się tu dzieje? — pytał Łukasz coraz bardziej zaniepokojony — dla czego tu stoisz, czego wyglądasz? Czemuś dotąd spać się nie położyła? Czemu płaczesz?

— Jakżebym nie miała stać i płakać — łkała dziewczyna — kiedy gospodyni odeszła od nas na zawsze! Takiej drugiej już nie znajdziecie, choćbyście w dzień z latarnią szukali po świecie całym. Wszyscyśmy, ile nas tu jest, nachwalić jej się nie mogli za dobre serce, uprzejmość i rządność. O każdym wpierw pamiętała, niż o sobie, każdemu chętnie usłużyła, nigdy siebie samej nie wywyższając. Dziecko wasze także nie doczeka się drugiej takiej matki. Już ją znało, niebożątko, uśmiechało się do niej, gdy je karmiła, rozumiało, kto ma o niem staranie i kto je zamiast matki miłuje. Ocierociało teraz powtórnie i my z niem.

Łukasz uchwycił się płotu.

— Gospodyni odeszła, odeszła... — powtarzał machinalnie, uwierzyć nie mogąc, aby to, co słyszał, było prawdą.

— Ma się rozumieć, że odeszła! I jakżeby nie miała odejść? — mówiła z cierpkim wyrzutem dziewczyna. — Każdaby to zrobiła, gdybyście jej pod oknami takie dziwy wyprawiali. A za co wystawiliście ją na tak wielki wstyd? Wszak wiemy, że za nic złego, tylko za to, że była rozsądną — człowiek ma przecie oczy i uszy, więc widzi i słyszy, choćby nawet tego nie chciał I taka, jak ona, dziewucha musiała przed samym ślubem pójść na służbę do cudzych ludzi, aż het, do Niemiec. Tak, do Niemiec, bo dokądże miała się udać? W naszych stronach wszyscyby ją wyszydzali!

Łukasz sam nie wiedział, jak i kiedy znalazł się w izbie i zbliżył do okna, u którego tak często rozmyślał za życia żony o wiernej miłości pierwszej swej kochanki, przy którem stał i onego wieczora, gdy Vendulka zamieszkała pod jego dachem, a on patrząc w rumiany zachód słońca, sądził, że własne jego życie będzie odtąd takim snem różowym. Inaczej, inaczej się stało!

Wyobrażał sobie Vendulkę uciekającą od niego z rozżalonem sercem wśród posępnej, ciemnej, głuchej nocy i śpieszącą na obczyznę, aby tam zaprzedać się w niewolę kto wie jakim ludziom...

Nadaremnie odsunął się od okna, aby zmienić bieg myśli, aby słumić wewnętrzny głos,

który za nieobecną przemawiał — na co tylko spojrzał, wszędzie oczy jego spotykały ślad pracowitej jej ręki. Jakąż to czystość i ład znać było w najdrobniejszej rzeczy! Na wszystko zwracała pilną uwagę, wszystkiem się zajmowała z całą gorliwością, o wszystkiem pamiętała! Drugiej takiej nie znajdzie na świecie, choćby z latarnią szukał! A taż kolebka, nad którą tak często widział ją pochyloną — serce mu się ścisnęło i żal za utraconą przemógł naraz wszystkie inne uczucia. Dla czego jej tu nie było? Dla czego stąd odeszła? Dla tego, że bardziej, niż on sam, szanowała pamięć matki jego dziecka.

— A gdyby nawet dziesięć razy była winną cóż stąd? — zawołał nagle tak głośno, że popłakująca z cicha na zydlu u kolebki dziewczyna zerwała się na równe nogi — alboż to nie zasłużyła na pobłażliwość z mej strony? Wyrzucam jej samowolność charakteru, ale ta wada podobała mi się w niej wówczas, gdy odprawiała z kwitkiem jednego zalotnika po drugim, jakkolwiek nie mogła przewidzieć przyszłości. Wielbiłem ją wtedy, pod niebiosa wynosiłem i żadna inna cecha jej charakteru nie miała takiej, jak ta, wartości w moich oczach. Co teraz nazywam uporem, wówczas nazywałem stałością! Któraż to dziewczyna byłaby mi przebaczyła ożenienie się z inną? Ona przeciwnie, sama mię do tego namawiała, widząc, że taką jest wola rodziców i nie chcąc ściągnąć ich klątwy na moją głowę. Ach, zawsze była czystą, jak szczere złoto, zawsze dbała bardziej o mój honor, niż o swoją miłość i jakaż ją spotkała za to zapłata? Dręczyłem ją dla marnego pocałunku, wystawiłem na śmiech ludzki, pozbawiłem opieki ojcowskiej i dachu nad głową, doprowadziłem do tego, że teraz poniżać się musi przed Niemcami! Ale nie, na to ostatnie przynajmniej nigdy nie zezwolę. Zaraz jutro pójdę do starego, opowiem mu wszystko, jak było, a on musi córkę odnaleźć i powiedzieć jej, że skoro tak gwałtowną czuje ku mnie nienawiść, zwolnię ją z danego słowa, ale uczynię to w taki sposób, aby okazać przed ludźmi swój dla niej szacunek i przyjaźń. A ktoby pozwolił sobie na jakie żarty z tego powodu, ten ze mną będzie miał do czynienia. Ale gdzie stary ma jej szukać? Dokąd go w ślad za nią poszlę?

Długo łamał sobie Łukasz głowę, zgadując, w jaką stronę Vendulka mogła się udać, ale na daremnie. Wpadł nakoniec na myśl, że najprędzej Marcinowa mogłaby się o to wywiedzieć. Włócząc się wciąż po świecie, nie jedno słyszała, a wreszcie będzie mogła i przemytnikom nakazać, aby w Niemczech o Vendulkę się wypytywali.

Powziąwszy takie postanowienie, Łukasz tego już tylko pragnął i o tem jedynie myślał, aby Vendulka mogła jak najrychlej wrócić do domu i znaleźć się wśród dawnych warunków bytu. A ponieważ zaczynało już świtać, on zaś wiedział, że Marcinowa wraca zwykle z tajnych swych wycieczek koło wschodu słońca, więc nie tracąc czasu, puścił się natychmiast w drogę, aby rozmówić się ze starą, nim znowu dokąd odejdzie.

Cisza zupełna panowała jeszcze koło domku Marcinowej, i Łukasz, zajrzawszy przez okno do wnętrza, przekonał się, że izba była pusta. Pomocnica przemytników widocznie jeszcze nie wróciła. Ale za chwilę wróci z pewnością, bo nie lubiła za dnia chodzić z koszem po lesie, a tu niebo nad górami lśni już niby złoto i tylko co nie widać, jak słonko z poza nich wyjrzy. Oprze się więc o płot ogródka i zaczeka na nią. Zdaje się nawet, że już wraca. Łukasz słyszy wyraźnie odgłos kroków, zmierzających lasem w tę stronę, a tam między drzewami coś miga — to kratkowana chustka starej. Nie idzie jednak sama, towarzyszy jej inna jakaś kobieta. Zapewne takaż sama, jak ona, pomocnica przemytników. Przed obcą osobą nie wypada mu przecież mówić, z czem tu przyszedł.

Ale w chwili właśnie, gdy chciał się cofnąć pod smereki i zaczekać tam, aż gość natrętny odejdzie — Marcinowa spostrzegła wysoką jego postać.

— Łukasz, Łukasz! — wrzasnęła jak szalona, zwracając się do towarzyszki, która postępowała obok niej ze spuszczoną na piersi głową.

I zabrzmiał nagle w powietrzu taki okrzyk, jakim Vendulka witała niegdyś Łukasza, gdy przemykając się chyłkiem pod rosnącą nad potokiem wierzbiną, biegł do ogrodu Paluckich — i postać jakaś wysunęła się z poza Marcinowej, rzucając ku niemu, a dwoje drżących ramion zawisło na jego szyji i pocałunek — stokroć gorętszy od dawnych pod osiką — zapłonął mu na ustach. Łukasz otoczył ramieniem kibić kochanej dziewczyny, uniósł ją w górę i bez dalszych wyjaśnień pośpieszył z powrotem do domu.

VIII.

Co ma o tem wszystkiem rozsądny człowiek powiedzieć? co sobie o Vendulce pomyśleć? Tak się wzbraniała, tak oburzała, wolała całą wieś podjąć na nogi, niż pozwolić narzeczonemu na jeden pocałunek, uciekła nawet od niego do przemytników — i oto nagle, wśród najzaciętszego gniewu i narzekania na niego, pocałowała go sama, dobrowolnie, gdy on ją nawet o to nie prosił! Oh, kobiety, kobiety! i której-że to z was nie wymknęło się tak serce, gdy ona sama tego jak najmniej się spodziewała? Czem się to dzieje, Bóg jeden raczy wiedzieć! Suszyłam już sobie nieraz nad tem głowę, ale nadaremnie, a jednak dobrzeby było, gdyby ktoś rozwiązał nareszcie tę zagadkę.

Ale co ma rozsądny człowiek powiedzieć o mężczyznach i co sobie o nich pomyśleć, skoro i Łukasz na weselu swojem chwalił się przed wszystkimi, że narzeczona jego wolała raczej uciec do przemytników, niż pocałować go przed

ślubem? I gdybyście wiedzieli, jak się tem pysznił, jak to każdemu powtarzał, jak ją za to chwalił i jak się cieszył, że ma czem się pochlubić!

A czy kto zgadnie, z czyjej ręki padło na weselu najwięcej strzałów? Częściej, niż którykolwiek z drużbów — Vendulka miała ich siedmiu, sześciu konnych, a siódmy wiódł ją pod rękę w ich otoczeniu — częściej niż którykolwiek z drużbów — powtarzam — dawał ognia stary Mateusz. Strzelał nie z jednego pistoletu, ale miał w każdej ręce po jednym i palił za każdą razą z obu. Idąc z nowożeńcami do kościoła, przystawał co chwila i grzmiał. Aż biedne kumy, które się zgromadziły wedle zwyczaju pod lipą kościelną, aby lepiej widzieć orszak weselny, całkiem na drugi dzień pogłuchły.

Tylko Marcinowa, która szła z nim w parze, nic sobie z tego nie robiła, owszem śmiała się, gdy dla tem większej wesołości palnął jej tuż nad głową. Kiedy onegdaj poszła go zaprosić w imieniu Vendulki na wesele, Mateusz jął rozważać, dla czegoby i on nie miał się ożenić, gdy inni ludzie się żenią? Postanowił nareszcie wycofać się z przemytnictwa, proponując Marcinowej, aby i ona poszła za jego przykładem. Przyszło mu bowiem na myśl, że najlepiej zrobią, gdy się pobiorą ze sobą, aby im było weselej w samotnej starości.

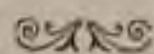
Marcinowa propozycję przyjęła i wnet zakrzątnęła się koło przygotowań weselnych. Zapowiedzi ich miały wyjść wkrótce i dla tego to Mateusz tak grzmiał, a Marcinowa częstowała gościnnie sąsiadki pod lipą, bacząc, aby każda z nich miała osobną flaszkę słodkiego trunku i wysuszyła ją do ostatniej kropli.

Nigdy żadna swacha nie okazała się równie hojną, ba, kumy nawet przypomnieć sobie czegoś podobnego nie mogły, chociaż przez lat tyle nie opuściły ani jednego wesela. Tak niezwykła szczodrobliwość sporo wprawdzie kosztowała Marcinową, ale też i nie mało sławy jej przyniosła: ludzie opowiadali sobie przez długi czas, z jaką to wspaniałością uczcić potrafiła wesele swej siostrzenicy, Vendulki Paluckiej.

Tłumacz. z czeskiego
M. W.



Ideał panny Julji.



(Ciąg dalszy).

Wprowadził ją do stołu, podał jej krzesło i ciężko opuszczając się na fotel, obrzucił ją przelotnem spojrzeniem. Nagle w oczach zamigotał mu żywy ogień. Spojrzał na nią po raz drugi i oczy jego zawisły na jej twarzy.

— Zmieniłaś się pani znakomicie! — zawołał z uśmiechem — znakomicie! — podznaczył to słowo.

Czy się zmieniła? Nie zastanawiała się nad tem. Nigdy zbyt wiele nie myślała o sobie, a teraz tem bardziej. A zmieniła się rzeczywiście — i znakomicie, jak słusznie zauważył profesor. Lat kilka zapewnionego bytu, względnych wygód i spokoju rodzinnego życia, rozwinęło ją przepysznie. Z owego wątłego dziewczęcia nie pozostało w niej ani śladu. Była to w całej pełni swych sił i wdzięków młodość dojrzała. Wiała od niej świeżość i obok pięknych form jakaś pociągająca trzeźwość ducha. Profesor patrzał na nią tak długo, że ją to mimowoli mieszać zaczynało.

Chcąc nadać inny zwrot temu sam-na-sam, przystąpiła odrazu do rzeczy. Żywo, barwnie i zwięźle opowiadać zaczęła. Profesor spoważniał w jednej chwili; z twarzy jego wsłuchanej i przejętej znać było, jak żywo bierze jej sprawę do serca. A gdy kończyła wzmianką o wszystkich swych staraniach i spełzłych na niczem nadziejach, na twarzy zadowolonego poczciwca pojawiła się szczera troska i zakłopotanie. Wyraz ten nie uszedł bacznego wejrzenia panny Julji; zdało się jej, że pierwej, niż usta, twarz ta wypowiada męczącą dla niego samego odmowę. Serce jej ścisnęło się nie niepokojem już, ale rozpaczą. Jak tonący chwyta się ratunkowej liny, z takim gorącym wyrazem zwróciła ku niemu swoje głębokie, wymowne oczy ciemne, ślicznie odbijające od lekko zarumienionej wzruszeniem twarzy. We wzroku profesora znów zabłysł ogień żywszy, upartszy, niż wpródy. Zdawało się, że zapatrzonemu zniknął naraz z pamięci cały wątek rozmowy.

— Więc jakże? — zbudziła go naglącem pytaniem, nie spostrzegając wywieranego wrażenia.

Ocknął się, a smutny wyraz znów przemknął mu po twarzy.

Zawahał się nieco, a potem spuszczając oczy przed jej pytającem wejrzeniem, odrzekł z cicha:

— Jakże mi przykro... Doprawdy, bardzo mi przykro, ale przypuszczam... Na miłość boską, niech się pani tem nie martwi — dodał żywiej, widząc ruch jej rąk, ciężko opadających na kolana — dołożę wszelkich usiłowań.

— Ale nadziei pan nie ma? — przecięła, bystro mu w oczy patrząc.

— Miałbym prawie pewność, gdybym poinformowany był pierwej, przed paru tygodniami. Człowiek, któryby mi usługi w tej sprawie nie odmówił, wyjechał z Europy.

Więc i to jeszcze! Opóźnienie z jej własnej winy, dla niedorzecznych skrupułów, dla śmiesznej, pensjonarskiej sentymentalności! Nie, to stanowczo więcej, niż ona przenieść potrafi.

Rozpacz malowała się jej w oczach.

— Cóż znowu, nie należy tak żywo brać do serca — uspakajał sam mocno zafrasowany profesor. — A! — zawołał — mam jedną myśl! Napiszę zaraz parę słów do jednego z moich znajomych, dość znaczne wpływy mającego; oddasz mu pani pismo własnoręcznie, a jutro proszę pofatygować się do mnie z odpowiedzią. Zechcesz tu, pani, poczekać?

— Wdzięczną będę bez granic — rzekła starając się nadać pewność swemu głosowi. Wstała, i podczas gdy profesor grzebał się w papierach, szukając adresu, podeszła do okna, usunęła się w stojącą obok kanapkę i ręce na oknie, a głowę na rękach wsparłszy, zadumanem spojrzeniem patrzyła w głąb dziedzińca.

Czas przestał istnieć dla niej. Nie powiedziałaby, chwile, czy godziny zeszły jej tak w oczekiwaniu. Utonęła całkiem w myślach i wspomnieniach. Wszystko, co przeżyła w krótkim okresie kilku ostatnich tygodni, krzyżowało się i napędzało nagle rozbudzone wspomnienia lat dawnych. To odczuwała na nowo wszystkie troski, upokorzenia i doznane zawody, jakie ją w nieszczęsnej sprawie brata spotykały — to gwałtownym ruchem wstecz przechodziła wszystkie epoki dawnego, dziecinnego niemal swego dramatu, rozpoczętego bezgraniczną czcią dla mistrza a kończącego się na takiem bolesnem rozbiciu własnego serca. Jakichże wielkich rozmiarów dorastał wówczas w jej wyobraźni ten mędrzec, który zechciał być dla niej, skromnej kopistki, tak bratersko, tak serdecznie dobrym. Czas i oddalenie wiele ujęły z tych fantastycznych form ideału, niemniej czuła się i teraz wzruszoną uprzejmem, jakby z lat dawnych przyjęciem i współczuciem.

— Dużo zmienił się — mówiła do siebie — ale zawsze tak samo dobrym pozostał. Gdyby mógł zrobić co dla mnie! Boże, Boże, gdyby mógł... Lecz gdy już zapóźno? Na całe życie przeklnę wtedy siebie. Sama dobrowolnie opóźniłam sprawę, przespałam ją najniedołężniej dla niedorzecznych, dziecinnych sentymentów. Sama zgubiłam Adasia; nikt inny tylko ja...

Rozpacz opanowała ją bez granic. Niżej spuściła głowę, ukryła twarz w dłoniach i starała się zewnętrznie przynajmniej zapanować nad sobą. Ale naprożno. Nerwy jej, kilka tygodni będące w nadzwyczajnem naprężeniu, odmówiły posłuszeństwa. Napadło ją drżenie, którego zwalczyć nie mogła i czuła, że za lada powodem, wybuchnie potokiem łez.

— A! nieszczęsna jakaś jestem, nic więcej! — mówiła do siebie z niebywałym nad sobą żalem — wszystko zawodzi mię w życiu, prócz męki nic nie mam!

I — co się jej rzadko zdarzało — przy tem przyznaniu się do własnej niedoli uczuła się ogromnie samotną.

— Prócz męki nigdy nic nie miałam — powtarzała ze wzrastającą w piersiach goryczą.

Naraz uczuła jakieś delikatne, aksamitne dotknięcie. Podniosła głowę. Profesor siedział obok niej na kanapce. Ramię jego, na poręczy oparte, nie dotykając obejmowało ją pierścieniem; drugą ręką lekko dotykał jej dłoni i z wyrazem tkliwego współczucia starał się w oczy jej zajrzeć. Wprzódy, niż myśl, zbudziło się w niej instynktowe poczucie jakiejś przyjaznej, współczującej istoty, tego serdecznego ciepła, którego tak bardzo brakło jej w tej chwili. Mimo wiedzy przygarnęła się ku niemu; ujęła jego rękę w obie swe rozpalone dłonie i gorąco ją uścisnęła.

— Mój Boże, nie męcz się tak, pani — zabrzmiał jej w uchu dawny miękki szept, i ramię spoczywające na poręczy, opiekuńczym ruchem zsunęło się na jej ramiona. — Nic jeszcze nie stracone, upewniam...

Ten głos, choć tyle wspomnień naraz w niej budzący, czy może właśnie dla tego, ocucił ją w jednej chwili. Żywo podniosła się z kanapki i przesunąwszy ręką po wilgotnych oczach, podeszła do stołu. W milczeniu podążył za nią profesor.

— Czy istotnie nie tracisz pan jeszcze nadzieji? — ozwała się wzruszona.

— A no, będziemy probowali wszystkiego; myślę, że przez tamtego — ręką o list uderzył — cośkolwiek wykołatać można.

Panna Julja dostawszy do rąk drogocenny bilecik, gotowa była biedz zaraz.

— Już pani odchodzisz? Nie darujesz mi ani chwilki?

Zatrzymał ją wejrzeniem pełnem wyrzutu.

Dlaczegożby nie? Zawdzięcza mu tyle; i samej tak miło, znalazłszy współczującą duszę, podzielić się myślami. Przysiadła na brzegu krzesła. Zawiązała się między nimi żywa rozmowa chwil kilku, w której krótkie a treściwe zdania wypowiadają rozumiejącym siebie tak wiele. On ją o życie jej i projekty na przyszłość wypytywał, ona badała go o jego świat wewnętrzny.

— Zmieniłeś się pan bardzo — rzekła mu szczerze, przy końcu rozmowy.

— Tak pani znajduje? — odparł z uśmiechem człowieka, któremu pochlebia, że na jego »ja« zwrócono uwagę.

— Tak jest, bardzo — rzekła zamyślając się. — Mówiłeś pan niegdyś, że wielki cel w życiu może całkiem pochłonąć człowieka, taki cel... miałeś pan wtedy.

Profesor zamyślił się na chwilę. Pobłażliwy uśmiech przesunął się mu po wypełnionych policzkach.

— Cel w życiu — wyrzekł zwolna — tak, to jedno z najbardziej wartościowych złudzeń człowieka.

— Złudzeń? — obruszyła się żywo.

— Naturalnie — uśmiechał się wciąż. — Cóż nie jest złudzeniem wobec jednakiego końca wszystkich rzeczy?

— Nie mogłabym żyć z tem przeświadczeniem! Po cóż w takim razie wlec tę niewesołą farsę?

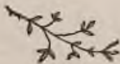
— A po cóż ją skracać? Racja w obu razach jedna. Raczej korzystajmy z tego, co mamy...

— To jest, łówmy każdą chwilę weselszą, jaka się nadarzy?

Skłonił się lekko, nie przestając się uśmiechać.

Panna Julja wstrząsnęła głową przecząco, ale nic nie odpowiedziała; przypływ niesmaku zatrzymał jej słowa na ustach. Powstała i żywo żegnać go zaczęła.

(D. c. n.) *W. Dalecka.*



Stowarzyszenia spożywcze we Francji.

W almanachu na r. 1895, wydanym przez Komitet Centralny unji kooperacyjnej francuskich stowarzyszeń spożywczych, pod redakcją znanego ekonomisty K. Gide'a, znajdujemy pierwszą statystykę stowarzyszeń spożywczych we Francji, opracowaną przez tegoż ekonomistę.

Jak objaśnia nas autor, udało mu się zebrać odnośne daty dzięki interwencji wzmiankowanego wyżej komitetu centralnego, który w marcu 1894 rozesłał do 1050 stowarzyszeń spożywczych bardzo szczegółowy kwestjonarjusz. Odpowiedź nadeszła tylko od 400 stowarzyszeń. Jest to wprawdzie zaledwie 40%, podczas gdy w Anglji w r. 1893. z liczby ogólnej 1565 stowarzyszeń tylko 28 nie przedstawiło związkowi sprawozdania, na uniewinnienie jednak Francuzów przytoczyć można, że rozesłany kwestjonarjusz był dopiero pierwszym krokiem, zrobionym w tym kierunku i że w Niemczech n. p. Związek stowarzyszeń w r. 1892 otrzymał sprawozdanie tylko od 344 stowarzyszeń (na 1283).

Jakkolwiekbądź, zebrane dane, dotyczące, jak się rzekło, 400 stowarzyszeń, pozwalają na wytworzenie pewnego ogólnego sądu o tym ruchu we Francji, o jego kierunku, rozciągłości i możliwych widokach na przyszłość.

Zacznijmy od danych faktycznych.

Najdawniejszem stowarzyszeniem jest *Ruche stephanoise* w Saint-Etienne, założone w r. 1855 t. j. w 9 lat po słynnym angielskim związku pionierów z Rochdale. W pierwszych latach po owym roku 1855. stowarzyszeń przybywało niewiele: przed r. 1880 przeciętnie rocznie po $5^1/_2$. Po r. 1880 wzrost idzie tempem znacznie szybszem, bo przeciętny przybytek roczny wynosi $21^1/_2$. Pierwszy kongres stowarzyszeń spożywczych odbył się w Nimes w r. 1885.

W 393 stowarzyszeniach liczba stowarzyszonych wynosi 219.805, t. j. przeciętnie 552 na jedno stowarzyszenie. Francja zajmuje tu trzecie miejsce po Anglji (1465 stowarzyszeń, — 1,202.700 członków) i Niemczech (344 stowarzyszeń, — 243.529 członków). Największy procent dają stowarzyszenia o liczbie członków od 1—500. Tych jest 302. Niebrak i stowarzyszeń, gdzie liczba członków przekracza 2000: jest ich 23. W czterech ilość członków wynosi więcej niż 10.000, mianowicie: stowarzyszenie spożywcze urzędników rządowych ma 11.268 członków, stowarzyszenie oficerów armji lądowej i marynarki — 14166.

Ogólny obrót roczny tych stowarzyszeń francuskich wynosił około 74 miljonów franków, t. j. około 241·700 franków na stowarzyszenie i 411 fr. na członka. Pod tym względem Francja zajmuje drugie zaraz po Anglji miejsce. Jeżeli się przyjmie jako regułę empiryczną, że stowarzyszenie spożywcze, dostarczające każdemu ze swych członków dziennie towarów co najmniej za 1 fr., znajduje się w zdrowych warunkach rozwoju, to przyznać trzeba, że stowarzyszenia francuskie w zupełności warunki te osiągnęły.

Publiczność sądzi zazwyczaj o powodzeniu stowarzyszeń z cyfry zrealizowanych zysków. Jest to przecież oznaka zawodna. Większość stowarzyszeń francuskich wcale nie dąży do realizowania zysków; wiele stowarzyszeń, mając na oku wyłącznie taniość towarów, wyraźnie w statutach swych zastrzega się przeciw realizowaniu zysków. Jak zaznacza p. Gide, dążność ta jest bardzo rozpowszechniona we Francji. Tak postępują liczne piekarnie kooperacyjne, tejże zasady trzyma się większość wielkich stowarzyszeń robotniczych. Niepodobna zatem pod tym względem porównywać stowarzyszenia francuskie z niemieckiemi (dającemi przeciętnie 9% zysku) i angielskiemi (około 13 ½%), które zysków swych używają po największej części na cele dobra publicznego.

Na pytanie, jak używają zysków te stowarzyszenia, które je mają, trudno dać jakąś jedną ogólną odpowiedź. Przedewszystkiem można zauważyć dwa kierunki: kapitalistyczny i socjalistyczny (jak je nazywa Gide). Stowarzyszenia o kierunku pierwszym przeznaczają część zysków (niekiedy znaczną, bo sięgającą 50%) na dywidendę dla akcjonarjuszów. Liczniej są jednak reprezentowane stowarzyszenia typu socjalistycznego, które nie przeznaczają dla akcjonarjuszów żadnych zysków (105 stowarzyszeń na 400).

Udział w zyskach urzędników stowarzyszeń jest we Francji bardzo rozpowszechniony. Prawie trzecia część stowarzyszeń przeznacza część zysków na rzecz swych urzędników. Udział ten wynosi często 15 i 20% czystego zysku.

Na cele społeczne i filantropijne obracają stowarzyszenia francuskie bardzo niewiele i pod tym względem stoi Francja w porównaniu z innymi krajami bardzo nisko. »Jesteśmy — pisze Gide — bardzo daleko poza stowarzyszeniami kooperacyjnemi Anglji, które poświęcają na wsparcie dla swych członków i oświatę olbrzymią sumę prawie pół miljona franków (co przedstawia przeciętnie prawie tysiąc franków na stowarzyszenie). Stoimy również niżej od stowarzyszeń niemieckich, ktore wydają na te cele około 100 franków na stowarzyszenie. U nas z rzadka jeszcze znajdziemy stowarzyszenie, które pod postacią kasy zaopatrzenia, przezorności albo pożyczkowej troszczy się o dobrobyt swych członków, ale nie znaleźliśmy ani jednego, któreby poświęcało choćby grosz na oświatę, na konferencje, kursa naukowe, czytelnie, koncerty i t. p. cele nadzwyczajnej wagi nietylko z punktu widzenia moralności, ale i mające doniosłe praktyczne znaczenie«. Rozumieją to stowarzyszenia angielskie, poświęcając na podobne instytucje około 850 tysięcy franków rocznie.

Pod względem wysokości kapitału akcyjnego, a raczej udziałowego, Francja (ogólny kapitał wynosi z górą 11 mil. franków) zajmuje drugie miejsce po Anglji ($314^1/_2$ mil. franków) i przed Niemcami (z górą 6 mil. franków). »Jednym z charakterystycznych rysów naszych stowarzyszeń — powiada Gide — jest dążność do posiadania własnego domu na umieszczenie biur i magazynów, co, jak się zdaje, świadczy, iż miłość własności nieruchomej tak samo jest rozwinięta u stowarzyszeń, jak u pojedyńczych osobników. Niektóre stowarzyszenia poświęcają na ten cel wszystkie swe zyski . . . U 108 stowarzyszeń wartość ogólna nieruchomości wynosi 5,165.000 franków«.

W ogólnych swych uwagach o stowarzyszeniach francuskich Gide podnosi tę okoliczność, iż dane statystyczne, na których oparł swe poprzedzające uwagi, dotyczą tylko mniejszości stowarzyszeń — zaledwie trzeciej ich części i dają zatem w rezultacie niezupełny obraz ruchu kooperacyjnego (spożywczego) we Francji. Byłoby wprawdzie rzeczą ryzykowną z danych o tej trzeciej części wnioskować przez analogię o całości, można jednak, jak sądzi Gide, ze znaczną dozą prawdopodobieństwa przyjąć ogólną liczbę członków na 300 tysięcy, a sprzedaż ogólną na 100 miljonów franków. Nie dałoby to jednak jeszcze pojęcia o całości tego ruchu, gdyż w cyfrach tych nie znalazły jeszcze uwzględnienia syndykaty rolnicze z obszerną sferą działania w tym samym zakresie. *p.*



Przegląd pism.

»Ateneum«. — Marzec 1894.

W omawianym zeszycie »Ateneum« zasługuje na bliższą uwagę ciekawy artykuł p. Leona Iwanickiego p. t. »Sprawy ekonomiczne«, powtarzająca się perjodycznie kronika ekonomiczna. Tym razem autor porusza myśl asocjacji rolniczych, jako jednego z ważnych środków zaradczych, do którego, zdaniem p. Iwanickiego, w blizkiej już przyszłości zwrócić się będzie trzeba, aby podnieść upadające gospodarstwo rolne. Myśl tę, rzuconą tylko, obiecuje autor w przyszłości dalej rozwinąć i sformułować.

Również, jeżeli nie bardziej, ciekawą jest druga połowa tego artykułu, w której autor daje dość szczegółowy przegląd stowarzyszeń przemysłowych: akcyjnych, udziałowych i na wzajemności opartych, których w Królestwie Polskiem istniało w r. 1893 około stu. Nie możemy tu naturalnie powtarzać cyfr, przytoczonych w owym artykule, wyjmiemy tylko z ogólnego bilansu 72 towarzystw, opisywanych przez autora, fakt dotyczący zysków, jako najlepiej ilustrujący dla szerszej publiczności stan przemysłu w danym kraju. — Otóż czyste zyski wyniosły w roku 1893 11,545.565 rs. $56^1/_2$ kop., t. j. przeszło jedenaście i pół procent od kapitału zakładowego tych towarzystw. Jest to rezultat, którym nie może się poszczycić ani jedno z zachodnich państw europejskich.

Znany publicysta, dr. Trepka, w pięknym artykule kreśli »Ewolucję stronnictw politycznych w Anglji«. Dobrze przedstawia autor zmiany w łonie odwiecznych partji torysów i whigów, pod wpływem nacisku idei demokratycznych i rosnących zadań społecznych, w rozwiązaniu których Anglja bodaj że (jak i pod wielu innymi względami) przodować będzie Europie.

Z innych artykułów wskażemy studjum o Rod'zie p. t. »Krytyk moralista« Przewóskiego, spory ustęp z poematu: »Bezsenne noce« K. Glińskiego i początek powieści Sewera »Biedronie«, z życia chłopskiego. *p.*



PRO MEMORIA.

17. kwietnia 1794. W Wielki Czwartek o godzinie czwartej z rana wybuchła rewolucja w Warszawie. Bohaterski lud, z którym się połączyło wojsko polskie, stojące wówczas załogą w Warszawie w liczbie 3 tysięcy, walczył pod wodzą Kilińskiego przez 38 godzin z 8 tysiącami Moskali, którzy mieli 34 dział i odniósł zupełne a świetne zwycięstwo.

19. kwietnia 1831. Generał Dwernicki pobił sześćkroć liczniejszego nieprzyjaciela pod Boremlem na Wołyniu.

19. kwietnia 1773. Zwołano sejm delegacyjny w Warszawie dla zatwierdzenia pierwszego rozbioru Polski, a przekupieni przez Rosję i Prusy posłowie okrzyknęli marszałkiem nikczemnika Ponińskiego.

21. kwietnia 1791. Uchwalono na Sejmie Czteroletnim w Warszawie słynne prawo o miastach.



Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.